

Marek A. Cichocki

# Szkice z polskiej podmiotowości

## I. Republikanizm jako źródło społecznego zaufania

Kiedy patrzemy dzisiaj na Polskę i Polaków, uderza nas jedna, dominująca cecha – charakterystyczny prawie dla wszystkich sfer wspólnego życia brak społecznego zaufania. Polacy są dzisiaj narodem o wyjątkowo niskim progu zaufania: wobec siebie nawzajem, wobec innych i świata zewnętrznego, wobec wszelkiego rodzaju instytucji, przede wszystkim instytucji państwowych, wobec rynku i jego mechanizmów, wobec elit, wreszcie wobec polityki i polityków. Istnieje tendencja, aby to rzucające się w oczy zjawisko braku zaufania kwalifikować z wyższością jako przykład ksenofobii, zamknięcia, postawy roszczeniowej, genetycznej

wręcz niezdolności do kooperacji – i przeciwstawiać mu otwartość na świat czy tolerancję jako proste i oczywiste antidotum.

Problem tak powszechnego braku społecznego zaufania odnosi się jednak do kwestii o wiele poważniejszej, niż może to sugerować ubite, wąskie pole ideologicznych walk, które toczą dziś ze sobą politycy. Dotyka on samej istoty sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się po 2005 roku, a więc po samorozpadzie politycznych umocowań systemu postkomunistycznego – i dlatego wart jest rozważenia.

Owo powszechne i głęboko zakorzenione zjawisko braku społecznego zaufania stanowi bardzo poważne obciążenie, ponieważ utrwała i uza-

sadnia proces destrukcyjnej fragmentaryzacji społecznej, rozpadu społeczno-politycznej całości. Przejawia się choćby w powszechnym przekonaniu przytłaczającej większości młodych Polaków (niezależnie od poziomu ich wykształcenia), że o sukcesie zawodowym nie decyduje praca, zdolności czy właśnie wykształcenie, lecz protekcja oraz osobiste znajomości. Innym przejmującym przykładem społecznej fragmentaryzacji, tym razem w sferze publicznej, są internetowe fora dyskusyjne, których uczestników najczęściej nie łączy nic poza ekspresją negatywnych emocji, pełną agresji i wulgarności. W obszarze funkcjonowania państwa brak zaufania prowadzi do rozpadu mechanizmów działania: niszczy ciągłość instytucjonalną, zakłóca lub całkiem uniemożliwia przepływ informacji, uruchamia procesy wyniszczającej wewnętrznej konkurencji. W efekcie otrzymujemy absurdalną receptę na sukces w działaniu: jeżeli chcemy w ramach instytucji państwa osiągnąć zamierzony cel, musimy zazdrośnie strzec informacji, zachowywać w tajemnicy własne intencje, nie polegać na nikim, udawać, że nic nas nie obchodzi i że niewiele rozumiemy, współpracowników i przełożonych zaś raczej wprowadzać w błąd, niż dzielić się z nimi własnymi racjami.

Brak społecznego zaufania nie jest w Polsce tylko spuścizną komunizmu. Wynika również z jej „rabunkowej eksploatacji” po 1989 roku w ramach postkomunistycznej transformacji. Pokolenie tej transformacji, szczególnie ludzie młodzi, przez ponad dekadę ćwiczyło się nie w adaptacji do zdrowych reguł rynkowej konkurencji czy normalnej, deliberatywnej demokracji, lecz często przede wszystkim w cynicznym pragmatyzmie, pogardzie dla wartości, wyścigu szczurów, przystosowywaniu się do oligarchicznych układów, wyzbywaniu się podstawowej empatii w życiu tak społecznym, jak i indywidualnym. Oczywiście rację mają ci, którzy twierdzą, że proces

fragmentaryzacji polskiego społeczeństwa był nieuniknionym następstwem zmian zachodzących po 1989 roku<sup>1</sup>, a w obecnych warunkach społecznych, politycznych czy ekonomicznych doświadczenie jedności, jakie przyniosła pierwsza Solidarność, pozostaje swoistym „rajem utraconym”. Nie zmienia to faktu, że w sferze politycznej czy publicznej nie podjęto w III Rzeczypospolitej żadnych poważnych prób stworzenia mechanizmów, które pozwalałyby pokładowi społecznego zaufania sukcesywnie odtwarzać się w sytuacji radykalnych zmian. Utratę poczucia podmiotowości, coraz silniej dostrzegany deficyt sprawiedliwości oraz zawężanie obszaru wolności w gospodarce i polityce przez układ oligarchiczny kompensowano retoryką dziejowej konieczności ponoszenia kosztów (szczególnie charakterystyczną dla środowiska Unii Wolności i „Gazety Wyborczej”) oraz socjotechniczną i operacyjną zręcznością SLD-owskich baronów (wiara w postkomunistycznych fachowców, którzy chociaż mają brudne ręce, wiedzą co robią). Innym ważnym elementem stabilizującym i racjonalizującym transformację było wrażenie zgodności wewnętrznych przemian z procesami panującymi w świecie zewnętrznym oraz artykułowanymi z zewnątrz oczekiwaniami (tu bez wątplenia czołowa rola przypadła Aleksandrowi Kwaśniewskiemu). Wreszcie czynnikiem o ogromnym znaczeniu kompensującym była osoba Jana Pawła II, który przez swoje pielgrzymki przywracał Polakom przynajmniej na krótki czas poczucie podmiotowej godności, posiadania przestrzeni publicznej oraz hierarchii wartości.

Kiedy mowa jest o problemie braku zaufania społecznego, trzeba oczywiście pamiętać, że nie wziął się on wyłącznie z charakteru postkomunistycznej transformacji, lecz że „rabunkowe gospodarowanie” zasobami społecznego zaufania było z niewielkimi przerwami doświadczeniem Polaków od przeszło dwustu lat. Tym bardziej

1. J. Staniszkis, *O władzy i bezsilności*, Kraków 2006.

## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

jednak, kiedy w 2005 roku zabrakło wszystkich czterech wyżej wymienionych zasadniczych czynników, które racjonalizowały dotąd sposób prowadzenia postkomunistycznej transformacji w III Rzeczypospolitej, pytanie o to, kto – o ile w ogóle ktoś – i jakimi sposobami podjąć się odbudowania zasobów społecznego zaufania w Polsce, stało się problemem zasadniczym.

Przez całe lata dziewięćdziesiąte podział na tożsamość postkomunistyczną (opartą na realnych interesach nomenklatury, ale także na etycznych i historycznych przekonaniach części dawnej opozycji) oraz tożsamość kontestującą tę pierwszą (a czerpiącą rację z tradycji Solidarności i antykomunistycznego oporu) funkcjonował jako główny motor publicznej mobilizacji, zdolnej przynajmniej w okresie przedwyborczym na krótko przewyciężyć pogłębiającą się społeczną fragmentaryzację. Jednak w 2005 roku, przede wszystkim za sprawą wyborów prezydenckich, podział ten stracił rację bytu. Zastąpienie go na potrzeby kampanii podziałem na solidarność i liberalizm było zręcznym zabiegiem taktycznym, który umożliwił zwycięstwo Lecha Kaczyńskiego, ale nie wydaje się, aby w dłuższej perspektywie zachował zdolność do społecznej mobilizacji oraz odbudowy zaufania. Jako element taktyki przedwyborczej podział ten nie opisuje precyzyjnie tego, co stało się w Polsce po 2005 roku.

Diagnoza PiS, iż kluczem do odbudowy zasobów społecznego zaufania jest odpowiedź na deficyt sprawiedliwości z lat dziewięćdziesią-

tych, była trafna. Ważne było także zrozumienie, że deficyt ten można w istotny sposób ograniczyć przez konsolidację struktur państwa. Nie chodzi tu jednak o powrót do jakiejś wersji socjalistycznego etatyizmu, jak niekiedy próbuje się charakteryzować podejście PiS do państwa, lecz o odzyskanie podmiotowej kontroli nad niektórymi procesami modernizacji. Miało to przywrócić poczucie bezpieczeństwa i pewności, a co za tym idzie – pomóc w odtwarzaniu się zasobów społecznego zaufania.

*W istocie nie idzie o utraconą magiczną, środkowoeuropejską wspólnotę smaków gulaszu i sernika (...) ale o coś znacznie bardziej namacalnego: o bezpieczeństwo energetyczne i informatyczne, o regionalną wspólnotę interesów w Europie, o relacje z Ameryką, Niemcami i Rosją, o sprawne byty państwowe, o to, czy odzyskamy naszą połączoną ponownie zagospodarować po swojemu, zdobywając w ten sposób respekt wszystkich tych, którzy dotąd realizowali tu bez ograniczeń swoje własne gospodarcze i polityczne interesy.*

Na tym tle rysuje się w Polsce nowy podział, bardziej adekwatny do realnych problemów, przed którymi stoi dziś nasz kraj. Jest to podział na „suwerenistów” i „globalistów”, na tych, którzy widzą konieczność odzyskania przez państwo kontroli nad niektórymi procesami oraz tych, którzy uważają to za niewskazane lub niemożliwe. Nie jest to podział *stricte* partyjny ani też biograficzny, lecz mentalnościowy – odzwierciedla odmienne podejście do polityki, własnej tożsamości oraz współczesnego świata. Ponadto przenosi on polską debatę publiczną na całkiem nowy poziom, wolny od postkomunistycznej ciasnoty, poziom, na którym od pewnego czasu w różnych krajach Europy toczą się dyskusje nad naturą współczesnej władzy, polityki, państwa, prawa, procesów społecznych i ekonomicznych. Dość przywołać przykład znaczącej reformy ustroju federalnego u naszego niemieckiego sąsiada. Jednocześnie zaś podział ten nosi w przypadku Polski oczywiste piętno naszej regionalnej i historycznej specyfiki, bowiem w przypadku krajów Europy Zachodniej problem wiarygodności

państwa jako podmiotu sprawującego kontrolę wynika z zewnętrznych – społecznych i gospodarczych – procesów globalizacji, podczas gdy u nas bierze się przede wszystkim z wewnętrznej logiki postkomunizmu, niszczącego struktury państwa bez tworzenia nowych. Destrukcyjność tej logiki z całą jaskrawością objawiła się w momencie wejścia Polski do Unii Europejskiej. Okazało się, że o ile polska gospodarka jest dobrze przygotowana do członkostwa (nie potwierdziły się żadne czarne scenariusze gospodarczego szoku czy katastrofy), o tyle polskie państwo, wlokące za sobą cały balast korupcji, oligarchicznych układów, biurokratycznego przerosłu w jednych obszarach, a bezwład w innych, jest na tę zmianę kompletnie niegotowe.

Jeśli chodzi o problem odbudowania zasobów społecznego zaufania, należałoby postawić pytanie, czy konsolidacja struktur państwa, szczególnie ich funkcji nadzorczych, jest wystarczająco skutecznym sposobem przeciwstawiania się dalszej społecznej fragmentaryzacji w Polsce. Alternatywna propozycja „globalistów” nie jest pod tym względem atrakcyjna, gdyż zakłada, że naturalnym rozwiązaniem problemu zmniejszania się społecznego zaufania jest ucieczka najzdolniejszych jednostek na obce rynki pracy w obrębie Unii Europejskiej. Zjawisko to uważane jest za rodzaj społecznego wentyla bezpieczeństwa. Tym zaś, którzy pozostają na miejscu, oferuje się wykoślawioną ideę „społeczeństwa obywatelskiego”, rozumianego jako obszar budowania zaufania między obywatelami w aspekcie negatywnym, to jest w walce z państwem jako rosnącą opresją. „Globaliści” zachowują także wyjątkową wiarę – często nie do końca uświadamianą – w zbawienną, porządkującą i nadzorczą rolę zewnętrznych struktur, najchętniej ponadnarodowych i niepolitycznych. „Suwereniści”, zmiernicy do konsolidacji państwa, wyciągają właściwe wnioski z postkomunistycznego rozproszenia.

Ich polityki nie można uznać za „anachroniczną” czy „wsteczną”, o ile spełnione zostaną pewne warunki. Po pierwsze, konsolidacja pewnych funkcji państwa (przez zmiany ustrojowe – dotyczące konstytucji – oraz przez instytucje) nie może być celem samym w sobie – trzeba ją traktować jako polityczne przedsięwzięcie budujące warunki, które dopiero pozwolą na odtworzenie się zasobów społecznego zaufania, którymi dotąd gospodarowano rabunkowo. Po drugie, natura relacji w ramach procesu integracji europejskiej, którego staliśmy się uczestnikami, zmienia w pewnym zakresie sposób funkcjonowania państw; czyni go bardziej złożonym, stwarzając dla tych państw nowe wyzwania i perspektywy. Wycofanie się z tych nowych obszarów w imię zbyt wąsko zdefiniowanej suwerenności byłoby błędem. Po trzecie wreszcie, aby polityczny projekt „suwerenistów” faktycznie zaowocował odbudową społecznego zaufania, na tyle silnego, by zrównoważyć negatywne skutki społecznej fragmentaryzacji, musi on korespondować z żywą tradycją polskiego republikanizmu. Problem ten wymaga nieco dłuższego wyjaśnienia.

Przeciwnicy polityki konsolidacji nadzorujących i kontrolnych funkcji państwa, którą reprezentuje dzisiaj – przynajmniej w społecznym czy medialnym odbiorze – przede wszystkim PiS, często podnoszą argument, że kryje się za nią antropologia podejrzliwości, skrajnie pesymistyczny pogląd na ludzką naturę. Taka diagnoza może być częściowo uprawniona, pytanie tylko, czy warto czynić z niej zarzut wobec „suwerenistów”. Ich antropologiczny pesymizm nie jest przecież całkiem pozbawiony racji. Postkomunistyczna transformacja pokazała, że poszczególne lokalne społeczności, grupy zawodowe czy środowiska są często zbyt słabe, by samodzielnie, bez pomocy państwa odbudować zasoby społecznego zaufania, przeciwdziałając fragmentaryzacji i zjawiskom patologicznym. Jeżeli zaś sięgnąć głębiej w historię

## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

Polski w XIX i XX wieku, nietrudno zrozumieć przyczyny, dla których dzisiaj, po tak wielu negatywnych doświadczeniach (rozbiory, wojna, komunizm), można mieć ograniczoną wiarę w społeczny i polityczny potencjał Polaków. Wydaje się więc, że z perspektywy tych kilku lat po zmianie, jaka nastąpiła w 2005 roku, to nie „polityczny darwinizm” – który tak lubią podkreślać wszyscy przeciwnicy – był kardynalnym grzechem Lecha i Jarosława Kaczyńskich. Ów brak wiary, sceptycyzm czy nawet podejrzliwość można w naszych warunkach uznać za uzasadnione. Podstawowy grzech tych dwóch „suwerenistów” polegał na czym innym: na tym, że wystarczyły im jedynie pozory państwa zamiast realnej konsolidacji. Jak jednak pokazuje statystyka, nawet pozory mogą mieć siłę sprawczą, skoro po 2005 roku możemy w Polsce zaobserwować spadek przestępczości oraz zmianę na lepsze naszej pozycji w indeksie korupcji na świecie.

Antropologiczny pesymizm (zdecydowanie wolę to określenie od „politycznego darwinizmu”) kryje w sobie także pewne pułapki. Przekonanie o ułomności człowieka może w polityce prowadzić do niebezpiecznej gry rozmaitymi ludzkimi słabościami, a w rezultacie do ich sankcjonowania. To zaś odziera politykę z jakiegokolwiek nadziei co do możliwości czynienia ludzi lepszymi, uczenia ich lub ćwiczenia w pozytywnym sensie. Wydaje się, że właśnie ten brak elementu *pai-dei* w politycznej praktyce Jarosława i Lecha Kaczyńskich sprawił, że wielu inteligentnych ludzi, którzy podzielali zasadniczo ich diagnozę z 2005 roku, z czasem odwróciło się od ich formacji.

Antropologiczny pesymizm jest w przypadku polskiej tradycji politycznej podejściem jednostronnym i traci z pola widzenia pewną lokalnie istotną wartość. Dokładnie taka sama słabość cechuje antropologiczne założenia Romana Dmowskiego zawarte w jego politycz-

nych rozważaniach z *Myśli nowoczesnego Polaka*, szczególnie w odniesieniu do relacji między chrześcijaństwem a polityką. W Polsce tego typu pesymizm wydaje się czymś dziwnym i przesadnym ze względu na wciąż żywą tradycję republikańską, sięgającą swoimi korzeniami politycznego doświadczenia I Rzeczypospolitej. Tradycja ta nie dostarcza dzisiaj żadnego gotowego projektu politycznego czy ustrojowego, opiera się raczej na zespole pewnych cech i zachowań zbiorowych, które wykazują szczególną historyczną trwałość. Za niemieckim socjologiem Norbertem Eliasem można by je nazwać polskim zbiorowym habitusem. Ten zespół cech i zachowań dochodzi szczególnie wyraziście do głosu w sytuacjach wyjątkowych – takich jak powstania, czasy pierwszej Solidarności, dni żałoby po Janie Pawle II – ale warunkuje postawę polskiej zbiorowości również w sytuacjach bardziej codziennych. Republikanizm jest być może tą ideą, która wciąż zachowuje moc czynienia z nas odrębnej całości. A wychodząc z pozytywnych, optymistycznych przesłanek co do ludzkiej natury, republikanizm był i nadal pozostaje najbardziej naturalnym źródłem odtwarzania się w Polsce społecznego zaufania oraz przewyciężania społecznej fragmentaryzacji.

Po republikanizmie I Rzeczypospolitej pozostała nam zatem nie tylko piękna nazwa państwa jako „rzeczy wspólnej”, ale również zespół konkretnych zbiorowych cech i zachowań. Wymieńmy przynajmniej kilka z nich. Przede wszystkim troska o dobro publiczne i zainteresowanie nim. Polacy odbierani są jako naród szczególnie rozpolitykowany, nawet jeśli w większości deklarują, że dla przyzwoitego człowieka polityka jest czymś wstrętnym. W rozmaitych badaniach nastrojów społecznych uderza, że Polacy zwykle znacznie lepiej oceniają swoją indywidualną sytuację niż na przykład ogólną sytuację kraju. Charakterystyczne jest

także, że oceniając korzyści płynące z członkostwa Polski w Unii Europejskiej, zdecydowana większość podkreśla zwykle korzyści płynące dla kraju w ogóle lub dla Polaków jako zbiorowości, a nie dla siebie osobiście. Jednak za tą troską o sprawy publiczne wcale nie musi iść chęć bezpośredniego uczestnictwa, działania; często troska ta wyczerpuje się po prostu na poziomie głoszenia opinii. Chodzi przede wszystkim o bezwzględne uznanie wszystkich ludzi za równe podmioty w publicznej przestrzeni. Pod tym względem Polacy są fanatycznymi egalitarystami i nie tolerują żadnych form wykluczenia ani instytucjonalnych czy prawnych ograniczeń. Mówić można wszystko, każdy każdemu – żaden społeczny ani materialny dystans nie ma tutaj znaczenia. Ten bezwzględny egalitaryzm publiczny bierze się z kolejnej cechy polskiego republikanizmu, to jest z bardzo emocjonalnie przeżywanego godnościowego indywidualizmu, z moralnego podejścia do autonomicznego, wolnego charakteru każdej jednostki – co też bywa często postrzegane jako skłonność do anarchicznych zachowań, niechęć do podporządkowania się, brak dyscypliny. Troska o dobro publiczne połączona z emocjonalnym przeżywaniem godnościowego indywidualizmu sprawia, że zaangażowanie Polaków w życie publiczne ma zwykle charakter mobilizacyjny, a rzadziej traktowane jest jako służba, powołanie czy obowiązek obywatela. Tę cechę polskiego republikanizmu w XVIII wieku podkreślał Jan Jakub Rousseau w swym niesłusznie niedocenianym tekście *Uwagi o rządzie w Polsce*. Zauważa w nim, że mechanizm konfederacji – skrzyknięcie się obywateli w jakiejś konkretnej sprawie wspólnej – jest podstawowym elementem republikańskiego ustroju Polski. Mobilizacja obywateli pozostaje tu główną metodą wprowadzania zmian i naprawy państwa. Relatywizuje to w znacznym stopniu znaczenie państwa i scentralizowanej władzy politycznej. W tradycji republikańskiej suwerenem jest bowiem przede wszystkim naród, który nieufnie przyjmuje

nadmierną koncentrację władzy przez państwo. W przypadku Polski ta nieufność objawiała się przede wszystkim w walce z *absolutum dominium* – groźbą władzy absolutnej. Podobny dystans charakteryzuje polską tradycję republikańską w podejściu do prawa. Kontynentalna, zachodnia kultura prawna, w której nie dyskutuje się z żelazną racjonalnością i formalizmem prawnych reguł ani z autorytetem sądów, w Polsce nigdy do końca się nie przyjęła, i to pomimo silnych wpływów niemieckiej czy francuskiej kultury prawnej. Stało się tak, gdyż szczególnie w praktyce i myśli prawnej I Rzeczypospolitej utrzymywał się wyraźnie sceptyczny stosunek do tradycji prawa rzymskiego. Nawet dzisiaj, jeśli chodzi o mentalność prawną, bliżej nam jest w pewnym sensie do Brytyjczyków niż do Niemców czy Francuzów. Intuicyjnie łatwiej jest nam zrozumieć, że normy prawa wypływają z konkretnych ludzkich działań i zachowań, a nie odwrotnie. Tę odmienną mentalność prawną zbyt łatwo klasyfikuje się do kategorii polskich przywar narodowych, interpretując ją jako lekceważący stosunek do prawa i brak szacunku do jego instytucji.

Ważnym elementem konstytuującym polski republikanizm jest jego warstwa obyczajowa i religijna. Pod względem obyczaju wyróżnia go praktyczny, zdroworoządkowy tradycjonalizm (na przykład w szczególnym przywiązaniu do rodziny). Istotna jest też silna religijność, przejawiająca się w wierze, że oprócz świata doczesnego istnieje także transcendentja. Nie jest to więc – charakterystyczna na przykład dla francuskiego republikanizmu – religijność immanentna, formuła religii obywatelskiej. Szczególny stosunek do transcendentji staje się w przypadku polskiego republikanizmu czynnikiem samoograniczenia, a nie przebóstwienia sfery politycznej. Stosunek do tego pozapolitycznego elementu ma w Polsce charakter pierwotny i poprzedza wszystkie podziały ideologiczne czy partyjne. Mówiąc w pewnym

## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

uproszczeniu, wszystkie podziały sprowadzają się ostatecznie do tego, czy wierzysz w Najświętszą Panią, czy nie. To wspólne Polakom odniesienie religijne najlepiej potrafił wydobyć na powierzchnię publicznej rzeczywistości Jan Paweł II podczas swoich pielgrzymek do kraju. Trzeba także pamiętać, że mówimy tutaj o religijności przeżywanej w bezpośredniej bliskości codziennego życia, indywidualnego i zbiorowego; rozpowszechniony na Zachodzie model państwa zsekularyzowanego, laickiego, całkowicie neutralnego duchowo jest z punktu widzenia polskiej tradycji republikańskiej zupełnie niezrozumiały.

Na koniec tych bardzo ogólnych rozważań o polskim republikanizmie wypada zrobić jedno istotne zastrzeżenie. Czy republikański habitus Polaków może być traktowany jako cudowne remedium na ich obecne kłopoty i na nowe czasy – czasy dogasania procesu postkomunistycznej transformacji, gdy opada już pył bitewny i gołym okiem dostrzec możemy kontury nowej rzeczywistości? Grecy uważali picie czystego wina za obrazoburstwo i głupotę. Podobnie rzecz ma się z polskim republikanizmem jako źródłem zaufania. Potrzebuje on nie tylko transcendentnego ograniczenia, ale także politycznej formy. Nic lepiej nie symbolizuje tej potrzeby niż żartobliwe słowa Jana Pawła II kończące jego wystąpienie w polskim Sejmie: „Wiwat Król, wiwat Naród, wiwat Wszystkie Stany!”. Republikanizm bez formy jest tylko ślepą energią, która kryje w sobie zarówno potencjał wielkości, jak i destrukcji. Słynne Maćkowe „A głupi! A głupi! A głupi wy!” z *Pana Tadeusza* powinno stale brzmieć w uszach wszystkich apologetów polskiego republikanizmu jako przestroga przed picciem czystego wina.

\*\*\*

Politykę konsolidacji państwa próbuje się dziś często przedstawiać przy pomocy odwołań do

jakichś odległych koncepcji Carla Schmitta, koncepcji poszukiwania wroga i konfliktów. Ci, którzy tak czynią, najwyraźniej niewiele rozumieją z samego Schmitta ani z dylematów polskiej polityki. Sedno problemu leży bowiem gdzie indziej. Konsolidacja państwa jest po fazie postkomunistycznej transformacji zadaniem koniecznym, być może wykraczającym poza możliwości jednej kadencji rządów, jednej partii politycznej czy jednej koalicji. Jednak by odtworzyć z czasem pokłady niezbędnego społecznego zaufania i przeciwdziałać pogłębianiu się społecznej fragmentaryzacji, potrzeba czegoś więcej. Odzyskaniu funkcji nadzorczych i kontrolnych państwa musi towarzyszyć otwarcie przestrzeni publicznej i postawienie na tradycję republikańską. Tylko wtedy pojawi się szansa na zerwanie z postkomunistycznym dziedzictwem. Mówiąc w skrócie, konieczna jest synteza myślenia w kategoriach I i II Rzeczypospolitej, uwzględniająca realia współczesnego świata. Polityk, który zrozumie tę konieczność i będzie potrafił wprowadzić ją w życie, ma szansę wznieść się ponad przeciętność.

### II. Wakacje od historii

Historia opuściła naszą część Europy – i nie ma znaczenia, czy rzeczywiście mamy jakąś szczególną skłonność do zagłębiania się w przeszłość przy okazji naszych sporów, czy nie. Historia jako dzianie się, stawanie lub przewidywanie rzeczy, które mogą mieć zasadnicze znaczenie dla losów świata i ludzkości, opuściła nasz zakątek Europy i już.

Można było jeszcze sensownie uważać, na przykład, że II wojna światowa wybuchła przede wszystkim z powodu Europy Środkowo-Wschodniej, jak to przekonująco przedstawił w słynnym sporze niemieckich historyków z lat osiemdziesiątych Andreas Hillgruber. Ta część Europy pozostawała także kluczowa później, w czasach zimnej wojny. Tutaj przebiegały

najbardziej bronione i pilnowane linie demarkacyjne między dwoma wrogimi światami. Wszyscy więc – w Berlinie, Pradze, Warszawie, Budapeszcie – mieli wówczas poczucie, że jeśli na świecie wydarzy się coś strasznego, co zmieni jego losy i zostanie zapamiętane przez potomnych, zacznie się to właśnie tutaj. Jednak dzisiaj historia przeniosła się gdzie indziej; jest na Bliskim Wschodzie. Dzisiaj w Izraelu, Iraku czy Iranie ludzie mają poczucie, że jeśli wydarzy się coś strasznego, co zmieni losy świata, zacznie się to właśnie u nich.

Tę nagłą zmianę powinniśmy przyjąć z ulgą. U nas historia pomieszkowała przez cały XX wiek, a koszty jej goszczenia okazały się nadzwyczaj wysokie. Kiedy więc słyszę dziś z ust różnych mądrych ludzi, że widzą, jak Polacy zmienili się ostatnio wewnętrznie, zaczęli jaśnieć jakąś nową pogodą ducha, spokojem – myślę, że nie jest to tylko efektem takich okoliczności jak rosnąca zamożność, spadek bezrobocia, większe poczucie bezpieczeństwa i sprawiedliwości czy wejście do Unii Europejskiej. Sądzę, że ta przemiana zachodzi także dlatego, iż zobaczyliśmy, że historia przestała się nami szczególnie interesować, postanowiła dać nam na jakiś czas spokój. To wyraźne napięcie w naszej duszy, ten cień na naszych czołach, to wrażenie wiecznego naburmuszenia stanowiły bez wątpienia efekt warunków, w których musieliśmy żyć, ale chyba w jeszcze większym stopniu brały się ze świadomości, że historia nie chce od nas odstąpić. Być w jej uścisku dla takich narodów jak polski było swoistym wyróżnieniem, które potrafiliśmy przekuć na swój własny etos bohaterstwa, wolności, wytrwałości. Ale było to też, przynajmniej to wreszcie, potwornym obciążeniem. Bycie w centrum historii oznaczało bowiem, że musimy grać o najwyższą z możliwych stawek: o przetrwanie, o możliwość egzystencji – o nasze być albo nie być.

Ten problem szczególnie wyraźnie uprzytamnia film Wajdy *Katyń*. Jego krytycy mają zapewne wiele racji; faktycznie ma on wiele irytujących mankamentów, takich jak brak fabuły, nieudana i psychologicznie płaska środkowa część, brak zdecydowania, czy film traktuje raczej o kłamstwie katyńskim, czy o zbrodni w Katyniu, zbyt ewidentne osobiste intencje reżysera – wszystko to chyba prawda. Jest wszakże jedna rzecz, która całą tę krytykę unieważnia: jeśli połączyć początek filmu, ową dramatyczną scenę spotkania na moście uciekających w dwa przeciwne kierunki Polaków, z końcową sceną, pokazującą metodyczną egzekucję tysięcy oficerów, to otrzymamy obraz, za który powinniśmy być reżyserowi wdzięczni. Jest to najbardziej sugestywny obraz, jaki można sobie wyobrazić – obraz przedstawiający naród w obliczu jego możliwego egzystencjalnego końca, w obliczu zagłady. *Katyń* jest tak naprawdę – bez względu na intencję twórcy – filmem o możliwej zagładzie narodu, który znalazł się w uścisku historii. Jest to obraz niepomiernie silniej oddziałujący niż wszystkie złote rogi z Wyspiańskiego czy nawet najbardziej beznaędziej błędzenie po kanałach spalonej Warszawy. I za to Wajdzie należy się wdzięczność, że właśnie teraz dał Polakom taki mocny przekaz: popatrzcie, tak niewiele brakowało, by mogło w ogóle nas nie być!

Popatrzmy na współczesnych młodych Polaków, szczególnie tych na uniwersytetach, w dużych miastach; takich – jakby napisał Gombrowicz – „luksusowych i europejskich, spokojnych i swobodnych”, pięknych, dobrze ubranych, delikatnych, zadbanych, jasnych. Nie mam nic przeciwko temu, by jaśnieli i byli piękni, ale chciałbym również, aby zachowali gdzieś w zakamarkach duszy ów obraz możliwej zagłady oraz ciężaru historii; aby rozumieli, że ich udziałem jest niebywałe szczęście i ulga bycia opuszczonym przez historię. Możemy zamartwiać się emigracją zarobkową, prowadzić



## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

zacięte polityczne spory, kłopotać się tym, co i jak robić w Brukseli, ale – zauważmy to – nie musimy się martwić o naszą zbiorową egzystencję. Wizja zagłady, której byliśmy tak blisko nie tylko w czasach II wojny światowej, ale także w czasach zimnej wojny (przypomnijmy sobie tylko plany Układu Warszawskiego i paktu północnoatlantyckiego na wypadek konfliktu zbrojnego), nie musi nas już zajmować.

Jesteśmy więc beneficjentami wielkiej zmiany. Oczywiście, wciąż żywimy pewną słabość do historii, do tej naszej „męczycielki”. Zaangażowanie w Afganistanie, w Iraku, wreszcie zgoda na tarczę antyrakietową – wszystkie te działania są z tej perspektywy jedynie próbą uchwycenia się poły szaty, w której przechadza się dzisiaj po świecie historia. Próbuujemy ją prowokować w nadziei, że się nie „odwinie” – dla czego to robimy, do tego trzeba będzie jeszcze wrócić. Historia jest dziś jednak zajęta czymś zupełnie innym. To znaczące, że kiedy na początku 2001 roku Talibowie niszczyli gigantyczne posągi Buddy w dolinie Bamjan na zachód od Kabulu, wszyscy na Zachodzie oburzali się tym aktem barbarzyństwa jako powrotem do mroków średniowiecza. Nikt nie rozpoznał w tym wydarzeniu znaku przyszłości. Historia znalazła sobie nowe zajęcia i nowe miejsca na ziemi: Bliski Wschód i Azję Środkową. Co to może oznaczać, dowiedzieliśmy się 11 września 2001 roku. Dzisiaj wszystko zaczyna się i kończy na tej części świata. Nie bez powodu uwaga wszystkich koncentruje się właśnie tam. Dziś to nie perspektywa trzeciej, nuklearnej wojny światowej między Wschodem a Zachodem – która prawdopodobnie pozostawiłaby po sobie wypaloną dziurę od Łaby do Bugu – spędza sen z powiek mieszkańcom bogatego Zachodu. Lękiem napelnia ich raczej pytanie, co się stanie, jeśli wyszkolona gdzieś grupa fanatyków użyje broni masowego rażenia w metrze którejś z europejskich czy amerykańskich metropolii. Co będzie wówczas z tak zwanym Zachodem?

Formułując to pytanie, patrzą w stronę Bliskiego Wschodu oraz Azji, w stronę Palestyńczyków, Afganistanu, Iraku czy Iranu. Czy gospodarka Zachodu, uzależniona od dostaw energii z Rosji i rejonu Zatoki Perskiej, nie zostanie w pewnym momencie przyparta do muru i wzięta za gardło? – pytają dalej mieszkańcy bogatego Zachodu, czując dziwne uczucie lęku w okolicach żołądka. I znów, poszukując odpowiedzi, spoglądają w stronę Środkowej Azji, Iranu i Morza Kaspijskiego. Wreszcie także Izraelczycy stawiają sobie trudne pytania, szczególnie kiedy słyszą wystąpienia prezydenta Iranu Mahmuda Ahmadineżada dotyczące jego planów budowy potencjału broni atomowej: co się stanie, jeśli ta broń zostanie użyta po to, by nas już nie było? Jak zachowa się wtedy Zachód? Czy będzie się tylko przyglądał, tak jak kiedyś? Być może mają rację ci, którzy twierdzą, że teza o decydującym dla losów świata konflikcie między Zachodem a islamem jest tylko ideologiczną konstrukcją oraz szkodliwą przesadą. Prawdą jest jednak – i tu nie ma wątpliwości – że rozwiązanie wielu egzystencjalnych dylematów Zachodu leży obecnie na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej. Dlatego w opublikowanym niedawno przez Roberta Kagana eseju *Koniec iluzji, czyli o powrocie historii* mowa jest najczęściej, obok Chin i Rosji, o tym właśnie fragmencie świata. To tutaj kryją się najtrudniejsze pytania i najważniejsze odpowiedzi.

Z takiej perspektywy nasze problemy jawią się jako doprawdy drugorzędne. Czy naprawdę możemy mieć pretensje o to, że świat przestał się nami fascynować i zajmować? A może, jak powiedziano wcześniej, powinniśmy raczej odetchnąć z ulgą? Raczej ani jedno, ani drugie. Nie można sądzić, że owo nieoczekiwane dla nas samych opuszczenie przez historię zwolni nas ze stawiania sobie poważnych pytań o naszą przyszłość. Nikt nas w tym nie wyręczy – a ściślej, nasza odpowiedzialność polega na tym, aby nikt nas w tym nie wyręczał. Mój

entuzjazm wobec filmu Wajdy wynika także stąd, że przypomina on nam o kwestii, której powinniśmy być ciągle świadomi: że jako Polacy nie jesteśmy wcale bytem koniecznym, może się zdarzyć, że nas nie będzie. Cóż, historia zawsze może do nas powrócić, właściwie – jeśli będziemy ją zbyt lekkomyślnie prowokować – wystarczy, że „się odwinie”. Dlatego tym wszystkim, którzy uznają, że pożegnanie z historią jest doskonałym pretekstem, aby uchylić się od jakiegokolwiek odpowiedzialności i rozplynąć się w europejskim *leisure*, należy odpowiedzieć co następuje.

Jeśli to prawda, że historia przestała się nami interesować, jeśli postanowiła dać nam spokój na dłuższy czas, nie znaczy to wcale, że w naszym otoczeniu nie dzieją się rzeczy ważne, które powinny przykuwać naszą uwagę. Dla nas po roku 1989 rzeczą najważniejszą jest zrekonstruowanie naszej części Europy, tej, którą nazywamy Europą Środkowo-Wschodnią. Nie jest to szczęśliwe określenie, bowiem w latach dziewięćdziesiątych zostało niemiłosiernie przesłodzone wskutek niemądrej gadaniny o jakiejś mitycznej, wręcz baśniowej, utraconej Europie Środkowej, którą ponoć można jeszcze poczuć jedząc sernik wiedeński w Krakowie, pijąc kawę w jakiejś secesyjnej kawiarni w Pradze lub rozkoszując się ognistym gulaszem w Budapeszcie. Przepraszam za szczerość – wszystko to bzdury! Chodzi bowiem o coś bardzo konkretnego, o byt, o całą połą naszą Europy, która zniknęła z politycznej mapy kontynentu wraz z rozbiorami Rzeczypospolitej Wielu Narodów pod koniec XVIII wieku. Terminem „Europa Środkowo-Wschodnia” posługują się tu tylko z braku lepszego. W istocie nie idzie o utraconą magiczną, środkowoeuropejską wspólnotę smaków gulaszu i sernika, o której tak wzruszająco może pisać Andrzej Stasiuk i wszyscy jego naśladowcy, ale o coś znacznie bardziej namacalnego: o bezpieczeństwo energetyczne i informatyczne, o regional-

ną wspólnotę interesów w Europie, o relacje z Ameryką, Niemcami i Rosją, o sprawne byty państwowe, o to, czy odzyskamy naszą połą Europy i czy będziemy potrafili ją ponownie zagospodarować po swojemu, zdobywając w ten sposób respekt wszystkich tych, którzy dotąd realizowali tu bez ograniczeń swoje własne gospodarcze i polityczne interesy. Odpowiedź na pytanie, czy uda się odbudować taką Europę Środkowo-Wschodnią, wcale nie jest przesądzona. Wydarzenia lat 1989-1990 i rozszerzenie Unii Europejskiej w roku 2004 ustanowiły jedynie sprzyjające okoliczności, aby taki projekt w ogóle można było rozpatrywać w kategoriach prawdopodobieństwa. Wcześniej były to tylko fantazje. I nie szkodzi, że dla historii pytanie o to, czy projekt taki się uda czy nie, nie ma większego znaczenia. Świat i Europa przyzwyczaiły się do tego, że nasza część kontynentu politycznie i kulturalnie nie istnieje; przyzwyczaiły się tak dalece, iż mogą nadal trwać w takim przeświadczeniu. Decydujące jest co innego: to, że my nie możemy istnieć bez tej części kontynentu. Dlatego albo ją odbudujemy, powołamy ponownie do życia, albo nas nie będzie. Przecież każde wakacje, nawet najbardziej błogie, kiedyś się kończą.

### III. Miejsce z wyboru

W opinii większości tych, którzy wzorca polskiej polityki zagranicznej nadal upatrują w latach dziewięćdziesiątych, wejście Polski do Unii Europejskiej miało ukoronować długi proces dostosowywania się do europejskiej normalności. Zakładano, że członkostwo pomoże rozwiązać najpoważniejsze geopolityczne dylematy Polski, przywróci nam pewność naszej pozycji w Europie i świecie, zagwarantuje stabilność i spokój. To przekonanie wzmacniali ci wszyscy, którzy – jak na przykład Lech Wałęsa czy Leszek Moczulski – szybkie i silne związanie Polski z „Zachodem” postrzegali wprawdzie jako niebezpieczeństwo, ale jednocześnie potrafili mu

## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

przeciwstawić jedynie fantastyczne pomysły typu NATO bis lub neutralny status Polski między wschodem a zachodem. W ten sposób sami dostarczali najlepszych argumentów na rzecz tezy o absolutnym determinizmie polskich dążeń do UE. Faktycznie, nie było innej opcji. Ten determinizm, choć bez wątplenia stanowił bardzo poręczny instrument socjotechniki kolejnych rządów lat dziewięćdziesiątych w walce o społeczne poparcie dla starań Polski o członkostwo, w pewnych obszarach stał się realnym nieszczęściem. To on sprawił między innymi, że w formalnie demokratycznym państwie i przy stosunkowo spluralizowanym świecie mediów III Rzeczypospolitej można było w negocjacjach akcesyjnych machnąć ręką na prawa pracownicze polskich pielęgniarek w Unii lub na egzystencjalne interesy polskich rybaków – twierdząc, że „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. W mniej praktycznym, ale równie istotnym wymiarze przyjęcie deterministycznego punktu widzenia na członkostwo Polski w Unii zaowocowało pełnym wyjałowieniem refleksji nad tym, jakie powinny być założenia polskiej polityki europejskiej i zagranicznej w ogóle. Dość przypomnieć słynną doktrynę Dariusza Rosatiego, z czasów gdy był jeszcze ministrem spraw zagranicznych, zgodnie z którą Polska nie powinna zabierać głosu w sprawach Europy, aby niepotrzebnie nie drażnić innych krajów europejskich.

Jednym z bardziej brzemiennych w skutki dla polskiej polityki zagranicznej przejawów owego determinizmu było uznanie za rzecz oczywistą, że Polska ma w Europie i w Unii jakieś naturalne miejsce dla siebie, jakąś przeznaczoną sobie pozycję. I tak na przykład słyszeliśmy, że naturalną rolą Polski w Europie jest rola „pomostu”, oczywiście między wschodem a zachodem. Mówiono też często, że Polska posiada jakąś naturalną kompetencję w sprawach wschodniej polityki i że cała Europa tylko czeka, aby tę kompetencję poznać

i się nią nasycić. Także współpraca z naszym zachodnim sąsiadem, Niemcami, była opisywana jako nam naturalnie przeznaczona w Europie. Zresztą czemu mamy popadać w zbyteczną skromność?! Cała Europa czekała na to, aby Polska w naturalny sposób połączyła swe siły nie tylko z Niemcami, ale również z Francją i w ten sposób przyczyniła się do zupełnie nowego impetu w polityce europejskiej (magiczne hasło – Trójkąt Weimarski). Wszystko to miało być oczywiste, konieczne, przeznaczone nam w ramach jakiejś racjonalności dziejowej, którą mógł poddawać w wątpliwość jedynie człowiek nieznający świata, nierozumiejący współczesnej natury stosunków międzynarodowych, krótko mówiąc – nieokrzesany i nieobyty.

Śmiem twierdzić, że to wszystko nieprawda. Polska nie ma w Europie żadnego z góry jej przeznaczonego miejsca ani roli. Nie jest żadnym naturalnym pomostem, nie jest też predestynowana do tego, by służyć Europejczykom za głównego specjalistę od objaśniania zakamarków duszy władców na Kremlu czy oligarchów w Kijowie. Nie ma też niczego takiego, jak naturalna współpraca między Warszawą, Berlinem i Paryżem. Wszystkie te projekcje należy traktować w kategoriach mitu, myślenia życzeniowego, jako poglądy, które mówią nam wiele o stanie świadomości tych, którzy je formułują, lecz nie stanowią bynajmniej opisu realnej sytuacji w polityce międzynarodowej. Miejsce Polski w Europie nie wynika z predestynacji, a już na pewno nie z życzliwości naszych sąsiadów i partnerów, lecz z naszych własnych politycznych i cywilizacyjnych wyborów. To miejsce będzie tylko – i aż – takie, jakie sobie sami stworzymy. Jeśli bowiem chodzi o nasze miejsce w Europie, powinniśmy wbić sobie do głowy jedną myśl: nic nam się nie należy i nic od nikogo nie dostaniemy. Tak, diagnoza postawiona w 2005 roku przez Jana Marię Rokitę, kiedy sądził jeszcze, iż to on będzie premierem Polski, była trafna: jakościowa

## Teologia Polityczna 5/2009-2010

W centrum uwagi: podmiotowość

zmiana międzynarodowego i europejskiego położenia naszego kraju polega na tym, że skończył się etap determinacji, a zaczął etap dokonywania wyborów. Dlatego wejście Polski do Unii Europejskiej nie jest tylko ukoronowaniem pewnego wysiłku w polskiej polityce, lecz dopiero początkiem prawdziwych wysiłków i zmagania.

Przyjmując Polskę do Unii w 2004 roku, kraje zachodniej Europy zadeklarowały gotowość do tego, by traktować ten największy kraj w regionie Europy Środkowo-Wschodniej równoprawnie w sensie formalnym. Jednak w znaczeniu realnych politycznych interesów państw członkowskich wcale nie oznacza to tego samego. Premier Luksemburga może cieszyć się w Unii nawet największym autorytetem. Nie znaczy to, że interesy Luksemburga i interesy Francji są w UE traktowane podobnie i mają taką samą siłę przebicia. Jednak w ramach wspólnych instytucji i reguł Unii jedno wydaje się pewne: interesy Luksemburga nie mogą być całkowicie zignorowane. Będąc poza Unią, Polska mogła co najwyżej liczyć na pomoc, wsparcie, życzliwość, zainteresowanie lub współczucie ze strony niektórych państw członkowskich. Po wejściu do Unii ta sytuacja uległa zmianie. Dzięki członkostwu uzyskaliśmy coś, co zapewnia przynajmniej podstawowy poziom równego traktowania – interesy Polski nie mogą być przez innych całkowicie ani otwarcie ignorowane. Ponieważ Polska jest dużym krajem i leży w szczególnym miejscu, może dodatkowo, w ramach zastanego układu sił wewnątrz Unii (głównie między Francją, Niemcami i Wielką Brytanią), liczyć na jakąś ofertę współpracy, która określałaby jej polityczną rolę, pozycję w Europie. To jest owo minimum, kredyt, jaki Polska otrzymała w 2004 roku wchodząc do Unii i do którego na pewno należy dodać jeszcze wszystkie strukturalne korzyści, płynące do nas za sprawą subwencji i unijnych projektów. Nie jest to oczywiście mało, jeśli wziąć pod uwagę

punkt wyjścia polskiej polityki w 1989 roku. Jak sądzę, można nawet stworzyć uprawnioną doktrynę polskiej polityki europejskiej, która opierać się będzie na założeniu, że to „mało” jest i tak zupełnie wystarczające i należy na nim poprzestać. Minimalistyczne podejście do polityki europejskiej i zagranicznej Polski może mieć własne racjonalne uzasadnienia. Minimalizm ten nie może być jednak praktykowany jako kolejne wcielenie determinizmu, lecz musi być świadomym wyborem politycznym, któremu w debacie publicznej towarzyszyć będzie zdolność wyłożenia własnych argumentów. W ogóle nie do przyjęcia jest natomiast sytuacja, w której minimaliści mieliby się posługiwać sprzeczną ze swym działaniem, maksymalistyczną retoryką. Tak czy inaczej taki minimalistyczny projekt polskiej polityki europejskiej nie może abstrahować od faktu, że jego założenia są już w punkcie wyjścia znacznie poniżej potencjalnych możliwości Polski jako dużego kraju europejskiego i największego kraju Unii w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie może też unikać pytań o bilans niewykorzystanych możliwości. W bilansie tym stawką polskiej polityki w Europie i w Unii Europejskiej jest bowiem to, czy będziemy potrafili wykorzystać sprzyjającą nam sytuację do odbudowania własnej podmiotowości, do podmiotowego określenia własnych interesów oraz własnej pozycji w Europie i – co może jeszcze ważniejsze – w regionie.

To ambitne zadanie nie jest wcale oczywiste, co można wyraźnie dostrzec, jeśli spojrzymy na nie z perspektywy długiego historycznego procesu, w ramach którego przychodzi Polsce funkcjonować. Dokonując różnych ocen polskiej polityki, także tej zagranicznej, zwykło się taką perspektywę lekceważyć, twierdząc, że i tak zbyt wiele uwagi poświęcamy naszym historycznym uwarunkowaniom. Niesłusznie. Historyczny kontekst naszego pojawienia się w Unii Europejskiej w 2004 roku jako formalnie równoprawnego uczestnika integracji nie jest

## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

bowiem bez znaczenia. Ściślej zaś nie jest on bez znaczenia, jeśli zgodzimy się, że podstawowym wyzwaniem dla polskiej polityki w Europie jest zrekonstruowanie naszej podmiotowości. Jeden z najbardziej przenikliwych pisarzy politycznych końca XVIII wieku, Edmund Burke, angielski polityk i myśliciel, uznał, że rozbiory Polski nie tyle stały się czynnikiem destabilizującym porządek Europy Środkowo-Wschodniej, ile przede wszystkim zadały poważny cios całemu europejskiemu porządkowi.

„Obecny brutalny rozbiór i zabór Polski bez pretekstu wojny, nawet bez cienia racji, należy uznać za pierwsze poważne naruszenie współczesnego systemu politycznego Europy”<sup>2</sup>, napisał Burke w 1772 roku. Znacznie później, bo w połowie XX wieku, Oskar Halecki, jeden z największych polskich historyków, tak określił z kolei historyczne uwarunkowania Polski w Europie: „Rozbiór Rzeczypospolitej Polskiej między Rosją i cesarstwo niemieckie sprawił, iż region ten znik-

nął z mapy Europy na ponad sto lat. Powstało wrażenie, że między zachodnioeuropejskimi Niemcami a nową Rosją, identyfikowaną teraz ze wschodnią Europą, nie ma nic”<sup>3</sup>. Przywołałem te dwie odległe w czasie wypowiedzi po to tylko, abyśmy uzmysłowili sobie, że dla obecnej sytuacji Polski w Europie nie jest bez znaczenia fakt, że właściwie nie istniała ona jako podmiot polityczny przez cały XIX wiek i większość wieku XX. Można więc zrozumieć, dlaczego po doświadczeniu II wojny światowej, podziału Europy i wreszcie upadku komunizmu państwa Europy Zachodniej nie mogły odmówić

odradzającej się Polsce minimalnego statusu, jakim w ramach integracji mogły cieszyć się takie państwa jak Luksemburg. Było w tym wiele z historycznej oczywistości, trochę też poczucia winy, ale także – po prostu – niemało własnego interesu. Jest oczywiste, że na przykład jeśli chodzi o Niemcy, ich wyjątkowe poparcie dla przyjęcia Polski do Unii brało się po trosze z historycznie zdeterminowanego poczucia obowiązku jakiegoś zadośćuczynienia, ale

---

*Polska nie ma w Europie żadnego z góry jej przeznaczonego miejsca ani roli. (...) Miejsce Polski w Europie nie wynika z predestynacji, a już na pewno nie z życzliwości naszych sąsiadów i partnerów, lecz z naszych własnych politycznych i cywilizacyjnych wyborów. To miejsce będzie tylko – i aż – takie, jakie sobie sami stworzymy. Jeśli bowiem chodzi o nasze miejsce w Europie, powinniśmy wbić sobie do głowy jedną myśl: nic nam się nie należy i nic od nikogo nie dostaniemy.*

---

w jeszcze większym stopniu z dobrego rozpoznania własnych interesów gospodarczych i politycznych. Nie przez przypadek Niemcy są pośród krajów „starej” Unii tym, który najwięcej skorzystał na rozszerzeniu w 2004 roku. Z rekonstrukcją politycznej podmiotowości Polski w Europie jest jednak już całkiem inaczej. Dlaczego właściwie Wielka Brytania, Francja czy Niemcy, a poza Unią – Rosja, miałyby podejść ze zrozumieniem do dalej idących politycznych aspiracji Polski – kraju, który przez trzysta

lat – jeśli wliczyć niezbyt budujący okres dynastii saskiej w XVIII wieku – z wyjątkiem króciutkiego epizodu II Rzeczypospolitej, nie uczestniczył w podmiotowym kształtowaniu europejskiej polityki? Na jakiej zasadzie mieliby oni zaakceptować ten powrót politycznej podmiotowości w Europie Środkowo-Wschodniej? Bo się nam to historycznie należy? Bo na to zasłużyliśmy? Bo nas skrzywdzono?

Jeszcze raz więc powtórzę, by nie pozostawiać żadnych wątpliwości: akurat w tej kwestii nic nam się od nikogo nie należy. To, czy zyskamy

2. Cyt. za: P. Wandycz, *Z dziejów dyplomacji*, Londyn 1988, s. 35.

3. O. Halecki, *Europa i jej granice*, Lublin 2000, s. 119.

podmiotowość w polityce europejskiej, wynikać będzie tylko z naszych własnych wyborów, z tego, czy jej chcemy, czy też może po prostu zadowolimy się minimalnym statusem, jakim cieszą się w ramach zintegrowanej Europy inne, małe kraje, pozbawione większych politycznych aspiracji. Wybór leży więc między różnymi formami minimalistycznych strategii a takim działaniem, które w politycznej praktyce – a nie tylko na poziomie retoryki – będzie w stanie je przełamywać.

Właściwie wystarczą dwa wyżej przytoczone cytaty, aby zorientować się, czym w praktyce byłoby zerwanie z minimalizmem w polskiej polityce europejskiej i zagranicznej. Chodzi o przywrócenie, zrekonstruowanie podmiotowego charakteru nie tylko Polski, ale całego regionu naszej części Europy, utraconego przed dwustu laty. Jest oczywiste, że takie ambicje nie mogą spotkać się z życzliwym przyjęciem ani na Kremlu, ani w Kanzleramcie, w Pałacu Elizejskim czy na Downing Street. Trudno zresztą mieć pretensje o to, że od XVIII wieku państwa europejskie przyzwyczyły się, iż mają generalnie spokój z tego typu ambicjami w naszej części Europy. Trudno też oburzać się, że takie nieminimalistyczne podejście do naszej roli w Europie jest przez innych kwitowane stwierdzeniem: no tak, Polacy jak zawsze chcą za dużo!

#### IV. Rekonstrukcja podmiotu

W naszej części Europy wakacje od historii nigdy nie trwały długo. O tym prostym doświadczeniu zawsze warto pamiętać, będąc Polakiem. Jeśli ktoś przechodzi tak krańcowe „próby ognia i wody”, jak Polacy w XX wieku, nie może bezkrytycznie uwierzyć w wiecznotrwały stan europejskiego błogostanu. Żadne idee solidarnej, zjednoczonej w różnorodności, postnarodowej i posthistorycznej Europy nie mogą wymazać z naszej pamięci tamtego dra-

matu. Pamięć o tych krańcowych zdarzeniach, takich jak Powstanie Warszawskie czy Katyń, nie jest żadnym jałowym rozdrapywaniem ran, perwersyjną skłonnością do płacziwej martyrologii, celebracji własnych upadków – jest raczej warunkiem utrzymania instynktu samozachowawczego przez wspólnotę polityczną.

To fascynujące i zasadnicze dla nas pytanie: dlaczego właściwie Hitler kazał w 1944 roku spalić Warszawę? Dlaczego zainwestował ogromne własne siły ludzkie i techniczne, aby unicestwić opustoszałe już miasto, niemające żadnego militarnego znaczenia, i to w obliczu zacieśniającej się ofensywy ze strony aliantów i Sowietów? Przecież to absurd! Dlaczego kilka lat wcześniej Stalin podjął podobnie irracjonalną, wydawałoby się, decyzję, by rozstrzelać dziesiątki tysięcy polskich oficerów? Przejawiła się w tym ta sama, nietłumacząca się racjonalnie rozrzutność „zasobów” ludzkich i technicznych poświęconych w celu dokonania rzezi. Czy nie logiczniej było po prostu wysłać jeńców do kopalń uranu lub syberyjskich lasów, a w przypadku Hitlera – czy nie można było po prostu zostawić opustoszałego i zrujnowanego miasta na pastwę losu, zamiast palić dom po domu?

Te straszliwe akty zbrodni tylko z pozoru były wyrazem czystego szaleństwa. Kryło się w nich całkiem jasne przesłanie: to, co stało się w Europie Środkowo-Wschodniej po 1918 roku, nie może się więcej powtórzyć. Między Rosją a Niemcami żadna samodzielna, autonomiczna nowoczesność nie ma prawa bytu. Warszawa i Katyń nie były aktami szaleństwa, ale straszliwej prewencji – zakrojonymi na szeroką skalę działaniami powstrzymującymi proces rekonstrukcji podmiotowego charakteru naszej części Europy, dla której nowoczesna polityczność i państwowość polska wydaje się kluczowa. Okrucieństwo tych aktów prewencji musiało być nieludzkie, aby sens przesłania zapadł nam

## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

na zawsze w pamięć i towarzyszył wszystkim naszym politycznym działaniom.

Dynamiczny rozwój Polski po 1989 roku znów potencjalnie stwarza warunki do rekonstrukcji podmiotowości naszego regionu Europy. Pojawiła się obiektywna szansa wyjścia poza nasze – zakreślone przez historyczne doświadczenia Warszawy i Katynia – wyobrażenia dotyczące tego, co leży w obrębie naszych faktycznych możliwości. Wciąż jeszcze sprzyja temu nowa sytuacja w Europie, zaistniała w latach dziewięćdziesiątych XX wieku za sprawą fali pokojowych przemian, choć ta „szczęśliwa chwila”, którą przeżywamy od dwudziestu lat, powoli chyli się już ku końcowi. Jednak przesłanie zawarte w tamtych straszliwych aktach prewencji nadal determinuje naszą tożsamość w Europie. Operacja łamania politycznego kręgosłupa Polaków powiodła się, skoro po dwudziestu latach niepodległego istnienia samo mówienie o politycznej podmiotowości Polski budzi wokół nerwowe reakcje oraz drobne akty doraźnej prewencji.

Rekonstrukcja podmiotu politycznego w Polsce wymagałyby w praktyce przejścia od logiki społecznej transformacji, w której funkcjonujemy od 1989 roku, do fazy polityczności. Aby to, co polityczne, zapanowało nad tym, co społeczne, konieczne jest podjęcie konkretnych zmian w kilku kwestiach.

Po pierwsze, problem przywództwa politycznego. O tym, że polska demokracja cierpi na ten problem, przekonywać raczej nie trzeba. Dotychczasowa praktyka polityczna podporządkowana została zasadzie „reglamentowanej” transformacji, a nie mechanizmom demokratycznego doboru czy konkurencji. Charakterystyczną cechą tego systemu były pozademokratyczne ośrodki koncesjonowania i legitymizowania władzy. Dopiero rok 2005 wprowadził zasadniczą zmianę sytuacji, kiedy

to scenę polityczną zdominowały dwie partie otwarcie kontestujące dotychczasową zasadę „reglamentacji”. Sprzyjało temu częściowe osłabienie, a nawet dezintegracja pozademokratycznego systemu politycznych koncesji oraz nowa sytuacja partii politycznych. Dzięki zmienionym regulacjom prawnym stają się one teraz autonomicznymi finansowo, *de facto* bardziej samodzielnymi, strukturami krystalizacji politycznej podmiotowości – a przynajmniej zyskują taką możliwość, pod warunkiem, że nie staną się wyłącznie narzędziami kumulacji i rozdzielania publicznych pieniędzy oraz zakładnikami destrukcyjnego wodzowskiego centralizmu, ale będą także działały na rzecz reprodukcji zasobów wiedzy, kompetencji oraz politycznej *virtu*, stając się maszynami politycznej *paidei*. Jak zauważył jeden z twórców nowego systemu partyjnego w Polsce i jednocześnie jego najbardziej chyba spektakularna ofiara polityczna, Ludwik Dorn, partie polityczne mogą w państwie pełnić rolę „nowoczesnego księcia”.

Po drugie, merytokratyzacja administracji państwa. O tym, jak słabe są aktualnie struktury polskiego państwa, również nie trzeba nikogo przekonywać. Ta słabość jest skandalem, jeśli wziąć pod uwagę minione dwadzieścia lat pokojowego rozwoju. Z całą wyrazistością objawiła się ona w momencie wejścia Polski w nowoczesne struktury Zachodu: Unię Europejską i NATO, a obecnie stanowi jeden z najważniejszych czynników hamujących procesy unowocześniania i odzyskiwania podmiotowości kraju. Całościowa sanacja struktur państwa jest raczej politycznie i mentalnie niemożliwa. Za ich naprawianie należałoby raczej zabrać się sektorowo, w obszarach kluczowych dla podmiotowości Polski w nowoczesnym świecie. W XXI wieku o naszej pozycji w świecie decydować będą kwestie polityczne oraz potencjał nowych technologii i nauki. Niezbędna jest reforma przynajmniej trzech obszarów – dyplomacji (MSZ), bezpieczeństwa zewnętrznego

(MON) oraz zwiększenia naszych szans udziału w głównych prądach nowoczesnej technologii i wiedzy (nauka i szkolnictwo wyższe).

Po trzecie, bezpieczeństwo energetyczne. Źródła energii już teraz decydują o gospodarczej i politycznej stabilności państw. Przykład Arktyki pokazuje rosnącą rywalizację o dostęp do nowych zasobów między politycznymi podmiotami. Putinowska Rosja otwarcie uznaje politykę energetyczną za zasadniczy element swej geopolitycznej strategii. Niektóre państwa, ujmujące własną przyszłość i bezpieczeństwo w kategoriach podmiotowości, w przemyślny sposób podchodzą do problemu zarządzania swymi zasobami i ich wykorzystywania (przykładem mogą tu być państwa skandynawskie). Zarazem powstanie nowej sieci przesyłowej łączącej Azję z Europą, która właściwie omijałaby Europę Środkowo-Wschodnią, może w przyszłości doprowadzić do trwałej geopolitycznej izolacji naszego regionu Europy. Zbudowanie podstaw własnego bezpieczeństwa energetycznego przez stworzenie alternatywnych źródeł oraz dróg dostaw, jak również przez własny sektor energii atomowej, jest kluczowe z punktu widzenia przyszłości Polaków.

Po czwarte, polityka wschodnia. Bez niej Polska nie istnieje w polityce europejskiej ani międzynarodowej. Istotą polityki wschodniej jest powstrzymanie neoimperialnej presji ze strony Rosji w jej polityce zachodniej oraz maksymalna europeizacja obszaru postsowieckiego. Aby osiągnąć te cele, Polska musi funkcjonować jako samodzielny podmiot polityczny w stosunkach z krajami wschodniej Europy. Jednocześnie zaś, przez instytucje i mechanizmy Unii Europejskiej, musi być zdolna do oddziaływania na politykę wschodnią państw Europy Zachodniej. Zakłada to jednak zdolność nie tylko do kreowania nowych pomysłów (*agenda setting*), ale także do ich wdrażania.

Po piąte, zapewnienie podstawowego poziomu szczelności państwa. Po dwudziestu latach Polska wciąż przypomina ogromne sito, przez które dowolnie przepływa strumień informacji. Możliwość penetrowania z zewnątrz najróżniejszych obszarów polskiej rzeczywistości jest instytucjonalnie, politycznie i prawnie bardzo słabo kontrolowana. Słaba pozostaje także świadomość tego problemu. Dotyczy to na przykład mediów, które nie wypracowały podstaw czy mechanizmów niezależnego kształtowania opinii publicznej. Instytucje państwowe nie gwarantują koniecznej szczelności nawet w początkowej fazie inicjowania, opracowywania i finansowania zasadniczych dla polityki państwa projektów. Dane dotyczące polskich obywateli nadal nie są dobrem chronionym przez państwo, często natomiast stają się łupem podmiotów zewnętrznych, bez trudu wchodzących w ich posiadanie.

Po szóste, armia. Polska jest jedynym nowym krajem członkowskim Unii, który wnosi realny potencjał uczestnictwa w międzynarodowych operacjach wojskowych. Jest to bardzo ważny argument polityczny. Polscy obywatele nie mogą być jednak traktowani jako tania siła ekspedycyjna, służąca wątpliwym politycznym celom czy ambicjom. W polskich warunkach najlepszym rozwiązaniem wydaje się model fiński. Zakłada on z jednej strony budowanie zdolności wojskowych pozwalających na udział w międzynarodowych operacjach wojskowych, co umożliwi utrzymanie wysokiej pozycji politycznej; z drugiej strony jednak opiera się na efektywnej obronie terytorialnej, pozwalającej na czasowe powstrzymanie zewnętrznej agresji.

Po siódme wreszcie, budowanie przyjaznego środowiska regionalnego. Polska w Unii Europejskiej czy w polityce wschodniej nie posiada znaczenia jako samodzielny aktor polityczny, szczególnie w stosunku do największych państw europejskich. Dlatego musi budować



## Szkice z polskiej podmiotowości

Marek A. Cichocki

przyjazne dla swej polityki środowisko regionalne w relacjach z państwami tak Europy Środkowo-Wschodniej, jak i basenu Morza Bałtyckiego.

Pozostańmy przy tych siedmiu zasadniczych punktach, podstawowych z punktu widzenia rekonstrukcji polskiej podmiotowości, aby zaledwie nie komplikować zadania, które należałoby sobie dziś w Polsce postawić. Jest to jedynie szkielet pewnego programu, który na razie ma postać wyłącznie teoretycznej analizy. Aby stał

się projektem z krwi i kości, musiałyby zostać wypełniony prawdziwą polityką.

*Marek A. Cichocki*

*filozof, politolog,  
adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk  
Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego,  
dyrektor programowy Centrum  
Europejskiego Natolin. Wydał ostatnio  
Władza i pamięć (2005).*